№ 39. Warszawa, dnia 14 (26) Września 1895 r. Rok XXXI.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Ś. † P.

JAN KLECZYŃSKI.

Szlachetny i pożyteczny ogółowi swemu człowiek, Jan Kleczyński, artysta pojmujący podniośle zadanie sztuki w jej oddziaływaniu, podnoszącem w piersiach ludzkich moce uczuć wytwarzających nam ideały istnienia górne, odszedł na odpoczynek wiekuisty, zostawiając po sobie żal w sercach tych wszystkich, którzy umieją cenić wpływy artyzmu, wnoszące w realne trudy i zabiegi życia podnioślejszych natchnień siły. Syn rodziny ziemiańskiej, urodzony w 1837 roku we wsi Janiewicze, w pięknych okolicach wołyńskich, karmił od dzieciństwa swą wyobraźnię widokami przestrzeni szerokich a te moce natury, które ludzie przebóstwiali sobie niegdyś, oddziaływały na artystyczne strony jego natury, rozbudzając mu w piersi siły, z których wytwarza się artyzm. Boginki te i bożkowie piękna, otaczające go w dzieciństwie nie odstąpiły go też nigdy, nigdy nie odeszły od niego, a na wytworzenie w nim natchnień artystycznych składały się i wpływy wywierane przez układ życia w rodzinie; matka jego muzykalną była i rozmiłowaną wielce w muzyce, ona też pierwsza otworzyła przed nim sztuki tej przybytek, była pierwszą jego nauczycielką.

Ś. p. JAN KLECZYŃSKI.

Naukę szkolną pobierał w Warszawie, w gimnazyum realnem, nie zasłoniło mu to przecież świata ideału a był jako uczeń wzorowym, bo i umysł miał niepospolity, okazał już wyższe zdolności literackie, wypracowania jego stylowe zwracały uwagę nauczycieli, nie przez sam styl przecież. Myśl szlachetna, podniosły pogląd na życie już się w nich ukazywały i po ukończeniu nauki szkolnej nie przestał poszukiwać wiedzy, kształcił się przez czytanie dzieł dobrych, nie zaniedbując obok tego muzyki. Brał lekcye fortepianu od nauczyciela wyższej miary, Ignacego Krzyżanowskiego, na ukończenie studyi udał się przecież do Paryża. Miał wtedy lat dwadzieścia dwa, Paryż nie porwał go jednak siłą tych uroków swoich, które odciągają od pracy; wszedł do konserwatoryum muzycznego, gdzie kształcił się pod kierunkiem mistrza, używającego wtedy wysokiego w zawodzie swym uznania, A. Marmontela, o którym wspomina wdzięcznie w wiele lat potem, pisząc o stosunku jego do siebie: „Obarczony pracą ciężką od rana do wieczora, znajdował jednakże czas do udzielania bezpłatnej lekcyi zdolniejszym uczniom z klasy swojej. Ciężko to było z drugiego końca Paryża kierować się w okolice konserwatorym, aby o godzinie siódmej rano zapukać do drzwi niestrudzo-

nege profesora; ale czegóż się nie robiło w nadziei zostania kiedyś znakomitością! I doprawdy nie jego to wina, jeżeli te marzenia nie spełniły się dla tylu...“

Wysoko i aż do uwielbienia ceniąc Chopina, oddał się Kleczyński studyowaniu jego utworów z całym zapałem młodzieńczym. Przebywając lat siedem w Paryżu, zbierał usilnie wszystko co się pamięci jego tyczyło, a nie były to chwilowe zachwyty młodzieńca; przeniknął się głęboko pięknem jego utworów, zrozumiawszy je doskonale, umiał też oddawać je po mistrzowsku i za powrotem do kraju pierwsze jego koncerta mieszczą przeważnie utwory Chopina, oddawane gorąco, z rozmiłowaniem się w nich wielkiem, więc oddziaływające też silnie na słuchaczów, którym podnosił serca w piersi szlachetną poezyą tej wzniosłej muzyki. Można też było odczuwać, iż woła w głębi swojej słowami poety: „O gdybym zdołał własne ognie przelać w serca słuchaczy...“

Pragnąc wytworzyć u nas szkołę uwielbianego mistrza, wygłosił w 1879 r., odczyty: „O wykonaniu utworów Chopina“ i wydał je następnie nietylko w Warszawie po polsku, ale i w Paryżu po francuzku, a były tam również bardzo poczytne i zwiększyły liczbę wielbicieli naszego mistrza. Następnie uzupełniając rzecz trzema również odczytami, wypowiedzianemi w 1883 r. w sali Resursy obywatelskiej, uwydatnił piękności, przez które chciał działać na słuchaczów, ilustrując odczyty przykładami muzycznemi, które wykonał tak, jak mogło to dać jedynie rozkochanie się jego gorące w pięknościach utworów Chopina. I jako nauczyciel był on też czemś więcej niżeli ten, który form dobrego wykonania według zasad sztuki pilnuje: umiał przemawiać do uczucia i rozbudzać je, niemal wytwarzać, uderzając tak w struny te serca i umysłu, które oddźwięk wydać musiały.

W 1879 r., został współwydawcą Echa muzycznego, wkrótce stał się jego całkowitym właścicielem, czyniąc go organem poważnym, przedstawiającym czytelnikowi kierunki ruchu muzycznego, jego postępy lub cofanie się wstecz, brane zawsze z punktu szlachetnych poglądów na sztukę i jej posłannictwo wśród ludzkości. Przecież mimo rozpowszechnionej zwłaszcza między kobietami muzykalności, pismo to nie mogło się utrzymać i z końcem 1882 r., wychodzić przestało, a była to dla nas szkoda niemała, bo każda podniosłejszego ducha istota ludzka potrzebuje mieć jakieś szlachetne pomoce w upięknianiu sobie życia, w czem sztuka staje nam do pomocy. Kleczyński cierpiał też nad tem bardzo, aż w końcu 1883 r. Echo wskrzeszonem zostało jako tygodnik, zamieszczający wiadomości tak o ruchu sztuki w ogóle, jak i literatury. Kleczyński był jego współwydawcą do 1884 r., a nawet gdy usunął się już z redakcyi nie przestał być tu współpracownikiem — współpracownikiem cennym bardzo, bo nie przestawał ani na chwilę zajmować się podnoszeniem stron sztuki szlachetnych, przeważnie przecież w części muzykalnej.

Biorąc to razem widzimy w Kleczyńskim artystę i człowieka czcigodnego; liryczny nastrój jego utworów brzmiał zawsze nutą swojską, serdeczną, smętną przecież i roztęsknioną. Piosenki jego zebrane w wydanym przezeń Śpiewniku upajają rzewnością swoją, a pozostało też po nim jeszcze kilkanaście nieznanych szerszej publiczności i Echo podniosło myśl poczciwą, aby na dochód wdowy i sierot wydać zbiór ich całkowity pod tytułem: „Śpiewnik Kleczyńskiego.“ Powinnością to jest nietylko ze względu na wyżej wymieniony powód, ale nie godzi się nam rozpraszać i zagubiać dla sztuki dzieł szlachetnego natchnienia, które w skarbcu ogólnego naszego majątku znaleść się powinny. Tak też pojmował i on obowiązki społeczeństwa w przechowywaniu tego, co drogocennem jest i zapładniającem przyszłość, tak przez cześć dla Chopina jak i ze względów ubogacenia sztuki naszej zebrał rozproszone jego utwory, porównał waryanty i wydał całość, składającą się z dwunastu tomów. Praca jego w komitecie Towarzystwa muzycznego nie była też mało znaczącą, pełnił tam najpierw obowiązki sekretarza, potem był zastępcą dyrektora, należał do liczby tych, którzy ułożyli ustawę Towarzystwa; zasłużony też był hołd pośmiertny, oddany jego pamięci przez Towarzystwo: wieniec złożony na trumnie z napisem: „Janowi Kleczyńskiemu Towarzystwo Muzyczne.“ Należy mu się przecież trwalszy wyraz zasłużonego uznania: pomnik nagrobkowy, który by świadczył przez lat szeregi, że spoczął tu człowiek szlachetnego serca, którego życie całe było pasmem uczciwej pracy.

M. I.

WRZESIEŃ.

Gdzież złocistych kłosów fale?
Gdzie szumiące pola?
Pusto—zżęto - i została
Ścierniem kryta rola.
Tylko jeszcze tu i owdzie
Grzęda się zieleni,
Lecz niedługo i tę zniszczy
Chłodny wiatr jesieni.
Wszystkie plony pracy zmudnej
Ścięły sierpy—kosy—
Teraz w polu nie bogato
Widne ostów stosy,
Zwieźli ludzie snopki z ziarnem
Z radości piosenką,
Chwasty ścięli—zostawili
Pod wierzbą, stareńką.
To—co rosło na pożytek
Zebrali ludziska,
Co głuszyło kłosy lube
Sterczy wśród ścierniska,
To—co zeszło z siejby dobrej
Da nam pożywienie,
Co bujało niepotrzebnie
Pójdzie na spalenie,
Tak też z życiem duszy naszej
Z grzechem albo cnotą.
Z plamą duszy lub zasługi
Aureolą złotą,
To, co zejdzie jak kłos zboża
Zbierze Bóg do nieba—
A odrzuci, to co marne
Czego nie potrzeba,
Przyjdzie jesień w życiu naszem
Będą próżne pola—
Kto zaś zbierze osty—chwasty
Tego smutna dola.
Wrzesień nadszedł—w polu cicho
Przepiórka nie woła.
I dźwięk sierpów, kosy naszej
Nie dzwoni od sioła.
Pajęczyna srebrną nitką
Snuje się z daleka,
Dzionek krótszy—słonko wcześniej
Za lasy ucieka,
Gdzież złocistych kłosów fale?
Gdzie szemrzące pola?
Pusto—cicho... bo została
Czarna—smutna rola.

Jadwiga z Ż. S.

POGAWĘDKA.

Rozpieściło nas trochę lato, od dawna już nie było tak piękne i pogodne, słoneczne i takiem rozkosznem ciepłem otulające ziemię. Nie czuliśmy żadnych przeskoków od zimna do upałów, od susz niezmiernych do deszczów nieustających — pasy gradowych chmur gdzie nie gdzie tylko przesuwały się przez niebo, nawet piorunowe burze, wichrem i gromem ziejące, wspaniałe potęgą zniszczenia nie rozdrażniały zbyt rozstrojonych dzisiaj nerwów ludzkich. Słowem, lato było prześliczne, choć się znachodzili wątrobiarze, to i owo mający mu do zarzucenia. Bo niech się tylko wygładzi sklep niebieski, wszystkie obłoki pospędza, wszystkie wiatry wchłonie w siebie; niech słońce o mlecznej niemal białości na morze rozkrysztalonych błękitów wypłynie i pełną piersią odetchnie—już słychać sarkanie na ciepło niezmierne, na blask oślepiający, na brak tchu ich piersiom zużytym. Zapominają ci żółtodziobi, że lato bez słońca rozpalnego, bez blasków płomiennych, bez tych pocałunków ognistych, które nie pozwalają zastygnąć, ożywiającej nas wszystkich, krwi ziemi—nie byłoby latem;—lecz co ich wszystko obchodzić może, gdy krople potu występujące na ich przedwcześnie zwiędłe czoła ciężarem się zdają, gdy byle co ich nuży i przerywa sen drzemki poobiedniej. Męczą się latem, przeraża ich zima śnieżna, niepokoi wiosna, jesień trwoży.

Nieszczęśliwi!

Lecz kto temu nieszczęściu winien?

Ej! gdybyśmy się chcieli wyspowiadać szczerze, nie rzucalibyśmy klątwy na świat nas otaczający, świat piękny, uroczy, patrzący na nas nieprzekwitłym nigdy powabem swych wdzięków. Miejmy pierś zdrową, czerwoną krew w sercu, nerwy przez namiętności nie zgrane—a nie znuży nas upał słoneczny, nie uczujemy dreszczu przed mroźnym powiewem zimy.

Skarbem przez natury nam danym, utraconym przez własną lekkomyślność jest—zdrowie!

— Lecz któż z nas zdrów nie jest?—mówią mi niektórzy.

— Któż z nas nie jest chory? — dałbym pytanie.

Nie zgrzeszę twierdzeniem, gdy powiem, że my już dzisiaj nie wiemy, jak owo szlachetne, opiewane przez Jana z Czarnolasu zdrowie wygląda.—Ptak rajski, gdyby się urodził bez swoich lśniących jedwabiem skrzydeł, nie miałby pojęcia o ich piękności, róża bezwonna nazwałaby się zawsze pięknym kwiatem, choćby postradała jedną z najcenniejszych swych zalet.

A ludzie?

Ludzie dobrowolnie wyrywają sobie te pióra rajskie, tracą piękność kwiatu, tę woń róży, to zdrowie szlachetne, które niemal do grobu towarzyszyć im powinno.

Uczeni, których obchodzi przyszłość świata, mówili nam niejednokrotnie o karłowaceniu ludności; przed dawnemi laty już Hufeland głos w tej sprawie podnosił, hygieniści biją w dzwon wielki, a i obecnie, rzeczoznawcy w pukającym już do drzwi naszych wieku następnym, widzą groźną zapowiedź walki dwóch ras: żółtej z białą i klęski tej ostatniej.

Nie sięgajmy tak daleko, rzućmy okiem wokoło siebie.

Jak rzadko rzeczywiste dojrzeć zdrowie.

— Stój!—zawołał głos jakiś.

— Czy masz co do powiedzenia?

— Nie—tylko o kilkanaście wierszy wyżej wspomniałeś coś o wątrobiarzach.

— Ech! nie myśl, łaskawco, że gderam dla przyjemności tylko. Właściwie to może jest ze starości, ale mnie jeszcze nie prędko włos posiwieje; do zrzędzenia mają może pewne prawo ludzie schorowani, lecz mnie ani reumatyzm nie wierci w stawach, ani kamienie żółciowe pozbawiają humoru. Czuję dość w sobie szlachetnych sił zdrowia i dla tego wiem na czem one zależą, gdzie są, a gdzie ich niema. Nie obchodzą mnie już zresztą ci, co

przeżyli połowę swojego wieku, nie na ich barkach oprze się wiek następny. Zajmuje mię dziś ten świat młody, który gwarnem mrowiem otacza nas do koła, którego serce i umysł, duszę i ciało z matczyną troskliwością strzedz powinniśmy. W tej chwili jednak obchodzi mnie tylko ich zdrowie, które krasnym rumieńcem na twarz młodzieńczą wybiega, szczerym śmiechem z piersi wylata, świeci w oczach ognistą iskrą zapału; to proste zdrowie, które nie omdleje pod naciskiem gorących promieni słońca, w uściskach mrozu nie zwarzy się, jak liść jesienny.

— Czasy!—szepcesz mi.

— Nie lekkie—dodaję.

— Trud i praca nadwerężają siły.

— Przeniosą dzieci nasze trud i pracę—zostawcie im zdrowie tylko.

— Powiedziałeś, że sami lekkomyślni zdrowie te psują.

— A wyście nauczyli je szanować? czy wasza miłość była tak rozumną, ażeby zawczasu ich oznajmić z tem wszystkiem, co skarb ten wykrada i niszczy? Wierzaj mi, że ci to z doświadczenia powiadam, i dla tego jestem pewny słów swoich. Kocham młodzież, lubię towarzystwo młodych i udało mi się zaskarbić ich przyjaźń niekłamaną.

Opowiem ci fakt następujący:

Gronko młodzieńców, którzy uczniowskie mundurki na studenckie zamienili, z patentami dojrzałości w kieszeni, dającemi niby już jej prawo do swobodnego kierowania własnemi krokami, odwiedziło mnie, ich szczerego przyjaciela, a odwiedziło, by w zupełnem zaufaniu módz ze mną pogadać, z któremi zapoznać się muszą, do których gnają ich zresztą: siła okoliczności, namowy starszych kolegów, obawa drwinek chwalących się większem, niż oni doświadczeniem. A potrzeba ci wiedzieć, że umiałem tak te młode serca pozyskać, taką wiarę w siebie wzbudzić, że każdy z tych umundurowanych chłopaków zanim jakiś popełnił uczynek, którego doniosłości nie znał jeszcze—przychodził do mnie i spowiadał się z myśli sobie poddanej, pytał, słuchał i dziękował za radę dobrą. Powiem ci szczerze, że ta wizyta, o której wspomniałem wyżej, rozmowa prowadzona, zapytania rzucane, o ile coś przyjemnie naiwnego miały w sobie, o tyle też ogromne światło rzucało na pewne pojęcia, które, niekierowane przez umysł poważny, złem przekonaniem stać by się mogły i Bóg to wie do jakich rezultatów doprowadzić—i jeszcze pewne światło rzuciło na stosunek do dzieci rodziców, którym pewna sfera pojęć tych młodocianych umysłów zupełnie nieznaną była. W niektórych życiowych kwestyach ta młodzież błąkała się, popychana przez wpływy uboczne, zawczasu odzierające serca z pewnych marzeń i złudzeń, bez których młodość istnieć nie może. Kilka lub kilkanaście naraz prądów wiało; gdyby zarozumiałość młodzieńcza, zostawiła swobodny ich wybór: prawie zawsze prąd gorszy, lecz zewnątrz błyskotliwy pociągnął nierozważnych. Powaga w traktowaniu pewnych przedmiotów jest konieczną. To też mówiliśmy długo, poważnie: piękno przeważało wszędzie, zwyciężało zawsze piękno.

Wiemy że najstraszliwszą bronią—jest śmiech. Śmiech starszych, doświadczonych kolegów dla niedoświadczonych i niewinnych jest prawie zabójczy. Takiego śmiechu i drwin młodzież się najbardziej obawia. Jak ją od tej obawy ochronić, co przeciwstawić, w tym razie, prawie zawsze zwycięzkiej broni?

Tu trzeba było połechtać dumę osobistą, wzbudzić stałość własnych przekonań, dać niezachwianą pewność, że prawda kąpie się zawsze w blasku, że zwycięztwo będzie przy niej, że uledz nie jest sztuką, bo słaby zawsze ulega. I odeszli pełni szlachetnego zapału, z wiarą w słowa przyjaźni która nie odarła im życia z barw pięknych, pokazała światło i cienie, zło i dobro i to co one przynoszą. Ale—z prowadzonej rozmowy z mojemi przyjaciołmi wiele a wiele bardzo smutnych dowiedziałem się rzeczy o ich młodocianych rówieśnikach. Jakie tam męty na dnie serc osiadły, jakie zniszczenie moralne! Nie pytajmy tych o zdrowie.

Zbiorowe życie uczącej się młodzieży, pomieszanie się różnych warstw społecznych, umysłów i serc, wymaga ogromnej pieczołowitości przewodników. Nie zawładną oni jednak tym tłumem ruchliwym, nie mogą wejść do wnętrza każdej z tych istot. Pod tym względem jedyną tylko szkołą jest i będzie—dom rodzicielski.

Lecz uczyć tam trzeba—dobrych przyjaciół nie zawsze dziatwa wasza znajdzie. Nie kończy się wasz obowiązek, ojcowie i matki, na daniu życia i zdrowia młodemu pokoleniu; potrzeba *przyzwyczajać* je do życia—i nauczyć jak dane zdrowie—*szanować*. A szanować musicie, bo na niem coś więcej jeszcze niż osobiste szczęście—spoczywa.

Już parokrotnie zwracałem myśl waszą, szlachetne matki rodzin, w tę stronę, bo z każdym rokiem niemal umysł i ciało słabieje u pociech waszych, zanikają szlachetniejsze popędy, silny hart ducha staje się coraz rzadszy, lada przeciwność trwoży i wykoleja. Ludzi o woli niezłomnej, o charakterach żelaznych ze świecą już szukać potrzeba—ale zdrowa dusza w zdrowem spoczywa ciele, a to ciało karleje coraz bardziej. Są jednak pewne epoki w życiu młodzieży, w której opieka macierzyńska ustaje, a ojcowskie doświadczenie życiowe występować powinno. Te przełamowe chwile, w kórych dzieciak w młodzieńca wyrasta, stanowią nieraz o całej jego przyszłości. Tu w opiekuńcze prawa matki ojciec wejść powinien, nie jako sędzia surowy, dyktator praw, lecz przyjaciel najlepszy, spowiednik łagodny, przed którym wszystkie tajniki duszy młodocianej odkryć się powinny. Małżeństwo nie jest tylko spółką dla uciech wzajemnych przeznaczoną, lecz i dla trudów wspólnych.

Zaczęliśmy od lata a skończyliśmy na kwestyi bardzo ważnej, rozciągnięcia troskliwości wielkiej nad dorastającą młodzieżą. Ale taki przeskok z przedmiotu na przedmiot niech was nie dziwi, łaskawi czytelnicy, przecie to o tem, to o owem gawędzimy z sobą, korzystamy z myśli każdej, która nam przez głowę się przesuwa, o mniej ważnych zaledwie wspominamy, nad donioślejszemi zatrzymujemy się dłużej i tak czas nam spływa na wymianie wzajemnych uczuć, dążeń i pragnień. Zresztą już jesień zakołatała do drzwi naszych domów, a choć ona może być piękną i ciepłą i niejednym dniem słonecznym przypomnieć niejedną jasną chwilę ubiegłych już letnich miesięcy: zawsze więcej zmroku niż światła będzie, więcej chmur niż rozjaśnionych błękitów, więcej kropel deszczowych niż dni pogodnych. Zamożniejsi miast mieszkańce i to miast tak dużych, ruchliwych a ludnych, jak Warszawa, mają i podczas tych dni posępnych rozrywki pewne. Bo krom nie próżnującego nigdy teatru, rozpoczyna się sezon wyścigów jesiennych, zabawy i rauty na cele dobroczynne, później odczyty publiczne, wreszcie zwykłe towarzyskie przyjęcia, które w porze letniej przerwać się musiały. Ale mieszkańce wsi, są pozbawieni tych wszystkich przyjemności. Z nimi też najchętniej gawędzę, wiedząc, że najchętniej przez nich czytany jestem, co świadczą dość częste listy, jakiemi obdarzony zostaję. Jeden szczególnie z takich listów sprawił mi niewymowną przyjemność, bo niedość, że byłem słuchany, lecz wysłuchany zostałem, za co szczere niosę podziękowanie.

Jesień! Jesień!...

Tak! mówi wszystko o jesieni. Zielone listki na drzewach przybrały już barwę złocisto-purpurową, szum wiatru dziwną tęsknotą wieje, z ukryciem się promieni słonecznych wieczór chłodnym pocałunkiem ziemię wita. Ta królewska liści purpura, ten chłód wieczorny, każą szczęśliwszym pomyśleć o mniej szczęśliwych, którzy z obawą i smutkiem powleczonymi oczyma patrzą na krokiem powolnym idącą zimę. Nie lękajcie się—Warszawa nie zapomni o was. Podzielimy się z wami sercem i groszem, według możności i sił i skromnych potrzeb waszych.

Pierwsza niedziela zaczynającej się jesieni została poświęcona zabawie, z której dochód przeznaczony został na wspomożenie Warszawskiego domu schronienia, inaczej „Przytulisko“ zwanym. Od godziny już drugiej po południu zaczęła się zaludniać zawsze ładna, choć znacznie w rozmiarach swoich zmniejszona, Dolina Szwajcarska. Przynętą nie małą dla warszawiaków, były rozmaite niespodzianki, jakie loterya fantowa przynieść im mogła. Fanty przeznaczone na *allegri* przewyższać miały wartością swoją przypuszczalny dochód z zabawy, bo oprócz małoznaczących cacek, było trochę złota i srebra, a nawet w piernikach Wróblewskiego szczęśliwcy odnajdywali i monetę ze szlachetnych metali kutą. O zmroku Dolina zajaśniała lampionami, później ognie bengalskie różnobarwnemi zaświeciły blaskami, wreszcie kule ogniste wyrzuciła pod obłoki świeca rzymska, ognista zaszumiała fontanna, i na tle ciemnem ogrodu wspaniale zarysował się warczący i strzelający młynek. Przez cały czas zabawy przygrywała znana od dawna Warszawie doskonała orkiestra symfoniczna pod dyrekcyą samego Sonnenfelda, odegrywająca aż szesnaście numerów. Już to pan Sonnenfeld przyjęte na siebie zobowiązanie wykonał z całą skrupulatnością, albowiem przy części czwartej koncertu, ogród już opróżniać się zaczął, tak, że uwertury z „Niemej z Portici“ słuchało już bardzo niewielu obecnych, „Zorza poranna“ weszła dla kilku zaledwie melomanów, śliczny walc: „Perły Dunaju“ rozperlał się w dźwięki po pustym już prawie ogrodzie a Czardasza z baletu „Meluzyna“ opróżnione tylko ławki słuchały i—wasz sprawozdawca. Pan Sonnenfeld jednak, jak dobry żołnierz, do ostatniej chwili nie zeszedł z pola, choć nie było już śpiewać komu, choć opar wilgotnego chłodu unosił się z opustoszałej Doliny, a kielnerzy drzemali, nie unosząc się wcale w zaczarowany kraj marzeń. Wypróżniły się jednak kosze szczęścia, cel został osiągnięty, „Przytulisko“ poważny zyskało zasiłek.

Zabawa się udała.

Lecz jak się powiodło na polu wyścigów—tego nie wiem. Stajni nie mam, szukając fortuny nie stukam do drzwi domu totalizatora, charcie skoki rumaków krwi angielskiej mnie nie bawią—a zatem...

Wyścigi, jak się odbywały tak się i odbywają bez mojego zupełnie w nich udziału.

Ale to nie racya, bym nie miał nie wspomnieć o pewnych zmianach jakie zaszły na polu Mokotowskiem. Robić przeoczeń takich nie wolno kronikarzowi. *Ad usum Delphini* pisać muszę, bez względu na swoje upodobania. Owóż tedy, Towarzystwo wyścigów konnych przyjęło publiczność w nowej zupełnie siedzibie. Wzniesiono nowe trybuny, zastosowane do wymagań pierwszorzędnego toru, a takim się staje z rokiem każdym nasz tor mokotowski. Główny budynek przedstawia się więc dość okazale i należy, według znawców architektury, do wybitniejszych budowli drewnianych, jakie u nas ostatniemi czasy wzniesiono. Obszerny i wysoki ten gmach, mieści w sobie lóż ośmdziesiąt i miejsc półtora tysiąca; zbudowany jest przeważnie z drzewa, na podmurowaniu z cegły, ułożonej na cementowym podkładzie. Po ostatecznem wykończeniu budowy, dość ładnie będzie się ona przedstawiała oczom widza, bo całość ozdobią stosowne ornamentacye z drzewa, olejno z zewnątrz i wewnątrz pomalowane, z dwiema wieżami, mieszczącemi klatki schodów głównych na górne galerye. Dachy, w miejscach widocznych, które podlegają zaciekom, będą ozdobnie pokryte łuskami cynkowemi, z fryzami i gzemsami, w pozostałej zaś części powleczone zostaną tekturą smołowcową. Schody zewnętrzne cementowe, wewnętrzne dębowe będą jak i słupy trybuny w liczbie szesnastu zdobne w kapitele i kanelowane, balustrady zaś wycinane ażurowo, zdobne toczonemi żołędziami. Pod głównym amfiteatrem w halli przygotowano obszerne i widne pomieszczenie na restauracyę i cukiernią. Lewa wieża, bliższa celownika, przeznaczona jest w górnem piętrze dla prassy, jako doskonały punkt obserwacyjny, piorunochrony zaś strzedz będą całości budynku od gromów siarczystych, gdyby im zła myśl czasem jaka przyszła. Ogólny koszt budowy wynosi 68,000 rs., którą prowadził według własnego pomysłu budowniczy p. Fr. Dietrich.

Ale, ale—totalizator pozostał nadal w swoim ubożuchnym domku, on, który całą tę przemianę sprawił; on, bez którego nie mielibyśmy 80 lóż i 1,500 miejsc w budynku, a dwóch wież na dachu. O, nigdy nie poprawna niewdzięczności ludzka!

— Nie narzekaj, nie narzekaj — mówi do mnie znawca wszystkiego tego, co się tylko wyścigów tyczy.

— Nie mam-że słuszności?—powiadam.

— Najmniejszej, najmniejszej..,

— Albowiem?

— Stanie jeszcze i dla totalizatora dom nowy.

Odetchnąłem i upewniony zostałem, że domek to będzie o bardzo pociągających kształtach, z którego syrenie dźwięki po całej rozpłyną się Warszawie.

Mamy jednak i coś zupełnie nowego, o którem przemilczeć nie godzi się. Jest niem świeżo założona w mieście naszem szkoła mechaniczno-techniczna, wyższa, dająca większe kwalifikacye aniżeli szkoły kolejowe—mniejsze jednak, niż politechnika. Nie potrzebujemy mówić, że ten nowy instytut wychowawczy odda bezwątpienia niepoślednie usługi społeczeństwu i wykształci zastęp techników naszych, które zajmą posady techniczne, dotąd obsadzone przez Niemców.

W d. 17-ym b. m. została zamknięta wystawa ogrodnicza, która, według różnych relacyi, jakkolwiek skończyła się niedoborem kassowym, wykazała jednak ogromne postępy, jakie ogrodnictwo nasze, w przeciągu ostatnich lat dziesięciu—zrobiło. Tak więc, powoli, ale posuwamy się naprzód. Wystawa metaliczna niejednego przyjemnie zdziwiła rozwojem żelaznego przemysłu u nas; sceptycy nawet znacząco pokiwali głowami i dziwili się zkąd się to wszystko wzięło, jak się rozwinęło i dało niezbity dowód, że nie tylko od parady głowy na karku nosimy. Teraz dobrze się przedstawiło i ogrodnictwo nasze, i mamy zupełną nadzieję, że zapowiadana na rok przyszły Wystawa hygieniczna nie mniej ciekawą i nauczającą będzie.

Wystawy podobne mają ogromne znaczenie.

Na sam koniec zostawiłem wspomnienie o ś. p. Janie Kleczyńskim. Kładą się ludzie do mogił w sile wieku, w możności użytecznej jeszcze pracy dla społeczeństwa. Nie spodziewaliśmy się tak szybko rozstać się z dobrym druhem, zacnym obywatelem i zasług nie małych artystą. Muzyka, krytyka i prasa poniosły nie małą stratę. O jego pracach na polu krytyki muzycznej, rozjaśniających u nas pojęcie istoty muzyki—kompetentniejsze pióro wypowie, my ograniczyć się musimy do wyjawienia szczerego żalu, do przyłączenia się do ogólnego chóru, który w ś. p. Janie Kleczyńskim, prawości i pracy wzór widział.

??

DLA DZIECKA.

NOWELLA.

(Dokończenie).

Z uporem, ale zgodził się wreszcie pan Walery na zamieszkanie wraz z synem. Ostatecznie Tadeusz przekonał ojca tem, że taki rozdział źle byłby przez świat widziany, coby wreszcie i Zbąscy powiedzieli, o których przyjaźń dbać teraz musi więcej, niż kiedykolwiek,

Od chwili przybycia swego do Warszawy prawie codziennym gościem bywał u rodziców Julki; panienka wciąż silniej lgnęła do niego i on się nie oddalał wcale, lecz z rozkoszą szedł w słodkie jarzmo niewoli. Właśnie dziś od niej powrócił i z większą natarczywością i stanowczością natarł na ojca. Długo trzymane na uwięzi słowo, jak ptak wyrwało się, i silną nutą zabrzmiało koło uszka dziewczyny, aż się przelękła i drgnęła. Lecz byli sami w salonie, więc przestrach trwał nie długo.

Bo i cóż tak strasznego Tadeusz powiedział?

Że ją kocha?

Przecie i ona go kocha!...

Obejrzała się tylko szybko za siebie, ale drzwi ve et do dalszych pokojów przymknięte były, żaden szmer nie przerywał uroczystej ciszy, tylko w otwartem oknie zawieszona firanka drżała lekko od ciepłego wiatru powiewu, tylko słońce złoty snop promienia rzuciło na szkliste tafle posadzki, tylko gdzieś w załomie gzemsu psotne echo powtarzało wyśpiewane przez Tadeusza słowo.

— Kocham! szeptało uporczywie...

— I ja kocham! naśladując echo, odpowiedziała Julka.

Tadeusz dnia tego poraz pierwszy ze szczęściem się zapoznał. Przedstawiało się mu ono w postaci tej tulącej się do ramion jego dziewczyny. Będą razem, wiecznie razem, jako dwa dopełnienia żywota, które powinno być ich własnem i drugich szczęściem. Byli młodzi oboje, piękni i zdrowi. Troska o życie, walka o chleb powszedni, która nieraz najrozkoszniejsze chwile zatruwa—usunięte przed nimi zostały. Tadeusz wiedział, że jest bogaty, nie sobie wprawdzie zamożność tę zawdzięczał, był ktoś, który pracował za niego i dla niego, ktoś, wyschły, jak szkielet z tej pracy, który go kocha, którego on ubóstwia...

To ojciec!..

Czy panna Julja powiedziała rodzicom, co zaszło przed chwilą w salonie? Musiała powiedzieć, bo pan Zbąski z większą, niż zwykle uprzejmością go powitał, bo pani miała łzy w oczach, a uśmiech roztkliwienia na ustach jej igrał. Nie można się więc było w pół drogi zatrzymywać. Pan Walery, jako ojciec starającego się, musiał odwiedzić Zbąskich, nastąpiłaby rewizyta, a nie można było nikogo przyjąć w dzisiejszem mieszkaniu przy ulicy Pańskiej i przy porządkach Małgosi.

Skulski nie robił żadnych uwag synowi. Drżał, gdy słuchał wyznań syna, szczęśliwy był ukochanego jedynaka szczęściem...

— Dla ciebie wszystko zrobię, nawet u Zbąskich będę—tylko, jak ja się przedstawię tam, ja, który od tak dawna z ludźmi nie żyję. Ale odważę się—teraz o twojem mieszkaniu pomyślimy...

— O naszem—poprawił Tadeusz...

Skulski westchnął...

— Prawda—o naszem!...

Kazał Tadeuszowi drzwi przymknąć — sam zaś podreptał do małej, drewnianej szafy bez nóg, stojącej dnem na podłodze. Wewnątrz znajdowała się ogniotrwała kasa, przytwierdzona do ziemi śrubami...

— To twoje, Tadeuszku — szeptał, otwierając swój skarbiec, pan Walery. Znajdziesz tam listy zastawne, rewersy różne, weksle krótkoterminowe, sumy umieszczone na hypotekach kamienic i majątkach ziemskich, a wszystko w porządku. Gotowego grosza także jest sporo, bo on mi codziennie kapie, mniej lub więcej – ale kapie!...

Wziął paczkę banknotów i zwrócił się do syna...

— Mieszkanie musisz nająć w śródmieściu, pokojów sześć, pierwsze piętro, stosowne umeblowanie do tego także być musi. Dalej lokaj, powóz, konie, może i kucharza mieć zechcesz, bo choć Małgosia zostanie przy nas, to ona do garnków pójdzie. Wiele na to wszystko potrzeba ci Tadeuszku? Dwa tysiące rubli—co! Mało? Masz trzy!...

Tadeusz stał zdziwiony...

— Czyż jesteśmy o tyle bogaci, by na taki zbytek pozwolić...

— Całego majątku—tak—po ścisłym obrachunku do dwóch kroć stotysięcy rubli będzie...

— Dwakroć!... zawołał Tadeusz... A ty żyłeś jak nędzarz ostatni?...

— Ale ty żyć tak nie będziesz!... Nikogo na świecie nie kochałem, tylko ciebie; nikt mnie nie kochał—ty tylko, Tadeuszku, dziecko moje kochać mnie musisz, musisz...

Objął długiemi rękami głowę syna i z jakąś konwulsyą zwierzęcego uczucia tulił ją do wyschłej swej piersi.

— Dla czego ty, ojcze, nie byłeś szczęśliwy? dla czego ciebie nikt nie kochał? zapytał Tadeusz po chwili...

— Albo ja wiem! szepnął pan Walery.

— A mama!... pytał syn... Nie był—żeś z nią szczęśliwy?...

Skulski spochmurniał...

— Nie rozumieliśmy się—rzekł ponuro.—Dosia dobra była kobieta, ale po niebie latała, gdy ja musiałem chodzić po ziemi. Za czułe serce biło w jej słabej piersi, gdy ja kamienie gryzłem i zębów nie łamałem. Życie i to takie życie, jak moje, to walka na śmierć, a kto walczy, ten nie ogląda się po za siebie, wciąż naprzód idzie i tratuje wszystko po drodze. Ona nie rozumiała tego! — Ale Dosia dobra była kobieta!...

Podczas słów ojcowskich, ta dobra kobieta, odbijała się, jak obraz żywy w pamięci Tadeuszu. Tylko znów jej usta nie miały uśmiechu, tylko nimb męczeński okalał blade jej czoło.—Tadeusz patrzył na ojca, jakby coś więcej chciał z jego spojrzeń wyczytać, ale to zatrudne było zadanie. Skulskiego te spojrzenia mieszały, zaczął kręcić się, ruszać, unikając starannie badawczych oczu syna...

Tadeusz prędko jednak zapomniał o budzącej się w sercu swojem jakiejś zagadce, która pewien rozdźwięk stanowiła w życiu rodziców.—Urządzał nowe mieszkanie, zaopatrywał je w potrzebne sprzęty, sam był przy wszystkiem i doglądał wszystkiego. W wolnych chwilach, a tych miał pod dostatkiem, biegł do domu państwa Zbąskich, gdzie go z radosnym witano okrzykiem: bo widziano już w nim przyszłego męża panny Julii, która szepnęła na ucho Tadeuszowi, że jakiś pan Alfred Snarski, dawny mieszkaniec Warszawy, więc człowiek nie pierwszej młodości, kilkakrotnie już był u nich, darząc pannę Julją kilku znaczącemi grzecznostkami. Lecz co mógł Tadeusza jakiś pan Alfred obchodzić? Kochał, wiedział, że był kochany, znikąd i w niczem przeszkody nie widział dla szczęścia swojego, które ze wszech stron go otaczało i samo biegło mu w ramiona.

Z ojcem tylko miał kłopot nie mały. Gdy nadszedł dzień, przeznaczony do tych odwiedzin, stary Skulski taki strach uczuł, że kroku uczynić nie mógł.

— Gdyby oni byli jeszcze sami — szeptał — ale tam może być gość jeden i drugi, — a ja nie mogę kompromitować się... to jest, kompromitować ciebie, swojem niezdarnem obejściem się...

Tadeusz ośmielał, obiecywał *sam na sam* ze Zbąskimi tylko, aż, wreszcie, przymuszony niemal przez syna, Skulski do drzwi postąpił...

Nagle się cofnął...

— Nie—Tadeuszku—to nad siły moje!... jęknął.

I usunął się na fotel.

Nie sposób było nalegać. Stary miał wygląd człowieka trawionego jakąś straszną chorobą. Żółta, sucha twarz jego przybrała barwę trupią, na nagiej czaszce duże, zimne krople potu wystąpiły, blade usta trzęsły się febrycznie, a szczęki dygotały okrutnie. — Zbielałe oczy patrzyły w przestrzeń z przerażeniem jakiemś, jakby tam okropne widmo stało, widmo zemsty za czyny życia...

— Mój ojcze, co tobie? pytał przerażony Tadeusz...

— Nie mogę—nie mogę... bełkotał Skulski.—Nie mogę—dla ciebie!...

— Nie rozumiem nic — nic — nic... odpowiadał Tadeusz...

— Chory jestem — niech Zbąski tu przyjdzie... Weźmijcie ślub prędko!...

Zamiast Zbąskiego Tadeusz chciał doktora sprowadzić, ale stary sprzeciwił się. Tadeusz poprosił więc pana Hilarego o odwiedzenie ojca, który, jako chory, nie mógł zadość przyjętym w świecie zwyczajom uczynić...

Nazajutrz o południowej godzinie, pan Zbąski zadzwonił lekko do drzwi nowego mieszkania Skulskich. Mieszkanie było urządzone z komfortem, lokaj wskazał przybyłemu drogę do gabinetu pana.

W połowie salonu przywitał gościa Tadeusz...

— Jak się ma ojciec? spytał pan Hilary...

— Nieco lepiej—służę panu!...

Na widok wchodzącego, Skulski podniósł się i kilkakrotnym, uniżonym ukłonem, który wywołał lekki rumieniec na twarz Tadeusza, przywitał ojca Julii.—Zbąski wyciągnął rękę, pan Walery chwycił ją w kościste swoje palce i ścisnął mocno. — Gość skrzywił się lekko, jakby doznał pewnego uczucia wstrętu. Zauważył też Tadeusz, że ojciec miał na oczach okulary o szkłach ciemnych, co, suchej, zawiędłej twarzy pana Walerego, dawało wyraz odrażający prawie.

Dziwne myśli zaczęły przebiegać przez głowę Tadeusza: Oczy są obrazem duszy, Skulski przykrył te oczy i patrzał teraz prosto w twarz Zbąskiego, gdy innym razem unikał by jego spojrzeń. Postać matki znów stanęła przed nim, smutna, bez uśmiechu jak zawsze...

Silny ból ścisnął pierś młodzieńca.

Pomiędzy Zbąskim, Skulskim rozmowa nie szła dobrze.—Pan Walery widocznie się mieszał i zapominał języka w gębie...

— Oczywiście, że pan wiesz o zamiarach syna względem mojej córki? spytał Zbąski...

— Wiem, wiem—szanowny panie! Tadek mi zaraz o tem mówił...

— Nie masz pan nic przeciwko woli syna?...

— Nic—szanowny panie...

— Obowiązkiem jest naszym pomyśleć o ich przyszłości...

— To bardzo ładnie z pańskiej strony—przerwał Hilary.

— W danej chwili—ciągnął dalej Zbąski—rozporządzać mogę dwudziestotysiącami rubli, które w czasie ślubu Julii synowi pańskiemu wypłacę.

— Ziarnko do ziarnka zbierze się miarka—wtrącił Skulski.

— Mój ojcze—odezwał się Tadeusz—ja nie żądam posagu. Najpiękniejszem wianem dla mnie jest serce panny Julii, miłość jej i szczere a głębokie przywiązanie, które potrafi zapewnić mi szczęście...

— Wszystko to głupstwo, mój Tadeuszku, pieniądze grunt!

Twarz Tadeusza oblała się rumieńcem.

— Pan, zdaje się, coś także synowi przeznaczasz? —zaczął znów Zbąski.

— Co mam, to jego, panie dobrodzieju! Oddałem już Tadkowi wszystko; to jest, cały kapitał, który reprezentuje sumę do dwóchkroćstotysięcy rubli dochodzącą.

Zbąski podniósł głowę i z niedowierzaniem spojrzał na Tadeusza.

— Tak — panie! — Bogactwo to zawdzięczam ojcu.

Pochylił się do ramienia Zbąskiego i rzekł:

— Wystarczy dla mnie i dla Julii na całe życie. *Mojego* nic nie będzie, będzie tylko—*nasze!*

Zbąski uściskał serdecznie Tadeusza i zwrócił się z pożegnaniem do Skulskiego, który znów kilkakrotny a uniżony ukłon mu złożył.

Za sześć tygodni został naznaczony dzień ślubu. Tadeusz z drżeniem serca oczekiwał uroczystej chwili, przepędzając dni całe u Zbąskich, lub towarzysząc paniom w ich wycieczkach po sklepach i magazynach.

Stary Skulski nie zmienił swego trybu życia.

Wychodził o dziewiątej zrana, o dziewiątej wieczorem powracał. Tajemnicze te wycieczki niepokoiły Tadeusza; praca przy jakimś handlu podejrzaną mu się wydawała, tem bardziej, że ojciec zapominał zawsze o nazwisku ulicy, wielekroć Tadeusz zapytywał go o to.

Dnie upływały szybko, młodzi oddawali się marzeniom niezamąconej niczem przyszłości. Tajemnica zaślubin zdradzona jeszcze nie została, bo cóż kogo mogli obchodzić Zbąscy, niedawni przybysze do Warszawy, która w pprze letniej wyludniła się według dawnego zwyczaju, przynajmniej zamożniejsze domy, z któremi Zbąscy zawarliby może znajomość bliższą, opustoszały podczas ogórkowego sezonu...

Tem lepiej było dla Tadeusza i panny Julii. Nawet nowy znajomy Zbąskich, pan Alfred Snarski, wybrał się na letnią siedzibę, zkąd obiecywał, nieproszony zresztą wcale, kiedy nie kiedy odwiedzać rodziców panny Julii.

Młodzi tyczasem marzyli.

Ślub—a po ślubie?

No—oczywiście wyjazd do Włoch...

Ciemne, o złotych gwiazdach niebo Wenecyi już rozpostarło się nad ich głowami, po falach morza zakołysała się gondola, miłosna pieśń przewoźnika towarzyszyła ich rojeniom...

Powoli osrebrzył się wschodni brzeg Adryatyku.

To wszedł księżyc.

Słychać szmer wioseł, kręgi fal rozchodzą się szeroko, szeroko—łódź w nieskończoną dal płynie.

— Prawda panno Julio, że w poślubnej podróży naszej żadnej znajomości zabierać nie będziemy? Powinniśmy sami sobie wystarczyć...

Julia odpowiadała uśmiechem, godziła się we wszystkiem z ukochanym i pierś obojga przepełniało westchnienie, serca jak dwa uregulowane zegary biły w takt jeden.

Państwo Zbąscy nie przeszkadzali marzyć młodej parze. Wiedzieli z doświadczenia, że tych chwil drogich nie godzi się przerywać, że w późniejszych, a kto wie jakich, dniach żywota, zostaną one najpiękniejszem ich wspomnieniem. Ale godziny umykały szybko, szary mrok wieczoru coraz grubszą uścielał się warstwą. Wniesiono światło i państwo Zbąscy weszli.

— Nagadaliście się? — zagadał Zbąski. — Ej, ja wiem, że dla was dnia i nocy by nie stało? No—ale musimy wam przeszkodzić; czegoście nie dopowiedzieli dziś, dopowiecie jutro. Zresztą poezya z prozą miesza się zawsze; tym razem prozą będzie herbata, którą za chwilę nam przyniosą.

Tok rozmowy się obniżył, pani Hilarowa zaczęła mówić o wyprawie, która jeżeli nie bogatą to zawsze dostatnią była.

Nagle w przedpokoju odezwał się dzwonek.

— A cóż to za gość spóźniony? — odezwał się Zbąski.

— Pewno pan Alfred! — zaśmiała się panna Julia.

Rzeczywiście, był to Snarski.

Dla Tadeusza zupełnie obojętnym był ten gość nowy, pan Alfred jednak szybkiem spojrzeniem obwiódł młodego Skulskiego od stóp do głowy, później zwrócił pieprzykowate swoje oczy na Julię, jakby rzucał jej pytanie:

— A to kto taki?

Znaczące to zwrócenie się do panny nie uszło uwagi Tadeusza, który uśmiechnął się i spojrzał na narzeczoną.

Uśmiech wywołał uśmiech.

Pan Alfred namarszczył się lekko i z salonowym ukłonem posunął się do pani domu.

Po przywitaniu się, Zbąski, wskazując na Tadeusza i Alfreda, odezwał się:

— Panowie znają się?

— Za krótko jeszcze bawię w Warszawie, nie znam prawie nikogo—odpowiedział Tadeusz.

— Ja zaś w niej od urodzenia mieszkam, znam więc wszystkich—ale pana...—skłonił się.

— Pan Skulski i pan Snarski, — przedstawił gospodarz.

Na dźwięk nazwiska Tadeusza, pan Alfred podniósł głowę, wyprostował się i małe, bazyliszkowe swe oczy utopił w Tadeusza spojrzeniu.

— Skulski? — wycedził przez zęby, — wiem, że w Warszawie jest jakiś Walery Skulski...

— Mój ojciec—rzucił Tadeusz.

— Co? ojciec—pana?!

Zapytanie było wypowiedziane tak dziwnym a zarazem znaczącym głosem, że wzrok państwa Zbąskich zwrócił się do stojącego opodal narzeczonego Julii, a Julia jakimś bezwiednym ruchem przytuliła się do Tadeusza.

— Cóż to pana tak dziwi?—zapytał Tadeusz, lekko brwi marszcząc.

— Zdarzają się podobieństwa imion i nazwisk.

To rzekłszy pan Alfred odwrócił się znacząco od Tadeusza i zaczął ze Zbąskim rozmawiać.

Nikt nie zaprzeczy, że zdarzają się podobieństwa imion i nazwisk. Zrazu Tadeusz chciał jasno postawić pytanie Snarskiemu, co on wie o Skulskim Walerym, że tak go zdziwiło to nazwisko—ale coś mu dech w piersi zaparło, coś zatrzymało słowa wypływające na usta.

Wieczór tak wesoło zaczęty przeszedł dziwnie posępnie. W ciągu ogólnej rozmowy pan Alfred raz tylko zwrócił się do Tadeusza, pytając go o Walerego Skulskiego. Opis postaci podany przez Snarskiego odpowiadał zupełnie podobiznie ojca Tadeusza. Tadeusz na każde pytanie odpowiadał „tak!“ choć czuł, że owo „tak“ krtań mu dławiło.

— Czy ojciec pana nie nosi czasem ciemnych okularów, o szkłach okrągłych? — zapytał w końcu Snarski.

— W okularach takich, o jakich pan mówisz—widziałem go raz jeden tylko—odrzekł Tadeusz.

Pan Alfred poruszył lekko głową, uśmiech jakiegoś tryumfu na usta mu wybiegł.

Nie pytał już o nic i do Tadeusza nie zwracał się już z żadnem pytaniem. Przy pożegnaniu się, nie posłał mu żadnego ukłonu; Zbąskiemu zaś wspomniał o jakiemś *rendez-vous*, na którem, miał się z nim nazajutrz zobaczyć i wyszedł, zostawiając po sobie jakąś duszną atmosferę, przesiąkniętą nieprzeniknioną mgłą tajemnicy.

Po wyjściu pana Alberta długie panowało milczenie. Zbąski zamyślony przechadzał się wzdłuż jadalnego pokoju, pani Hilarowa z niepokojem śledziła każdy ruch męża, Julja tylko się tuliła do ramienia Tadeusza, jakby się obawiała gromu, który lada chwila spaść może. Coś wisiało w powietrzu, ale nikt zagadki rozwiązać nie mógł. Snarski, jak zły duch jakiś zjawił się i znikł. Tadeusz jednak, który nie spuszczał zeń oczu, zauważył, że słów parę szepnął Zbąskiemu na ucho, że Zbąski drgnął lekko, jakby coś w pierś go ukłuło.

Zegar w przedpokoju wydzwonił pierwszą. Tadeusz poruszył się.

— Nie odchodź pan!—szepnęła Julia, przytulając się do ramienia ukochanego.

— Czas już,—odrzekł Tadeusz.

— Ja się czegoś obawiam, Tadeuszu!

Pierwszy raz nazwała go po imieniu.

Tadeusz przytulił dłoń lubej dziewczyny do ust swoich i gorący a długi pocałunek na rączce ukochanej złożył.

— Czy ty nie uważasz nic? — pytała przyciszonym głosem.

Tadeusz czoło potarł.

— Ja czuję chłód jakiś!—szepnęła panna Julia.

— I ja—odpowiedział.

— Strach—

— Strach? a to znów co? najdroższa moja!

— Czy ty wierzysz w przeczucie?

— W ułudną grę zmysłów powiedz.

— A jednak?...

— Nie lękaj się niczego przy mnie...

— Przyjdź jutro wcześnie, wcześnie — zawołała gorączkowo.

Jutro!

Jutro był uroczysty dzień ich zaręczyn.

Noc sierpniowa cicha i ciepła, zanadto jednak rozpalone czoło mieć musiał Tadeusz, bo chłód go przejmował. Postać Alfreda Snarskiego stawała wciąż przed nim, wymówione przezeń nazwisko ojca, dziwnym zgrzytem do uszu mu wpadało.

Wracał do domu piechotą, ojciec już spać musiał.

Alfred znał tego ojca—dziś poznał syna. Przy poznawaniu się podają ręce sobie—Alfred uniknął tego towarzyskiego obowiązku. Tak! teraz zrozumiał jego ruchy, jego kunktatorskie znalezienie się na odchodnem.

Tadeusz uczuł gorąco.

To ogień palił mu policzki, to rozpalona krew w skroń uderzała.

— Musisz ty mi jaśniej wypowiedzieć myśli swoje!—zazgrzytał.

Zawrócił na prawo i na skręcie ulicy twarzą w twarz spotkał się ze Snarskim.

Alfred chciał go ominąć, lecz go Tadeusz zatrzymał.

— Przepraszam pana — odezwał się właściwym głosem.

— Wybacz pan, lecz czasu nie mam — odparł Snarski, usuwając się na bok.

Tadeusz zastąpił mu drogę.

— Musisz mi pan poświęcić chwil parę.

— Muszę?

— Mam do pana interes mały.

— W nocy?

— To obojętne dla mnie!

— Lecz dla mnie nie obojętne... Nie znam pana!—odpowiedział podniośle pan Alfred.

— Obraziłeś mnie pan u Zbąskich umyślnem niepodaniem mi ręki—zawołał Tadeusz. — Zauważyłem to!

— Więc? — krótkie, zimne z przyciśniętych ust Alfreda wypadło.

Tego nadto dla krwi gorącej było. Tadeusz sponsowiał, dobył bilet wizytowy i cisnął nim w twarz Snarskiemu.

— Wyzwanie?—zawołał napadnięty.

— Tak!—zgrzytnął Tadeusz.—O broń i miejsce sekundanci się ułożą.

— Skulski nie znajdzie sekundantów!—z łamiącym chłodem odparł Alfred — a Snarski mu biletu nie wręczy.

Skoczył do przejeżdżającej dorożki i znikł z oczu nieprzytomnego Tadeusza.

Gwałtowne szarpnięcie dzwonka zbudziło lokaja pana Walerego, który zerwał się z posłania i do drzwi pobiegł.

— Czy to pan?

— Ja!—zawołał Tadeusz.

Wszedł drżący—ledwie na nogach mógł się utrzymać, co w posługaczu pewne podejrzenie wzbudziło.

— Wrócił jaśnie pan z bibki—pomyślał.

— Pan śpi?—spytał Tadeusz.

— Śpi! W gabinecie tylko panicza jeszcze nie gasiłem światła.

— Dobrze! Samego mnie zostaw!

Wszedł do salonu, ale tak mu się w głowie mięszało, że drogi nie mógł znaleźć. Zapalił świecę, blask ognia na marmurowy padł stolik stojący przed zwierciadłem i odbił się o dwa piękne złote kandelabry, których przed tem Tadeusz nie widział. Podszedł więc mimowolnie i wziął do rąk jeden ze świeczników.

Robota była misterna, waga i blask wskazywały kruszec szlachetny. U dołu pod tarczą herbową plątały się dwie litery A i S.

Początek imienia i nazwiska przed chwilą wyzwanego wroga.

Lecz co mają za związek te świeczniki z panem Alfredem Snarskim?

Tadeusz udał się do swego pokoju i zasnął snem ciężkim.

Nazajutrz chciał się zobaczyć z ojcem, lecz ojciec swoim zwyczajem już wyszedł, udał się więc do Zbąskich, lecz drzwi zastał zaparte. Daremno kołatał, nie odpowiadał nikt; wewnątrz panowało grobowe milczenie, choć jemu się zdało, że cichy, stłumiony, dolatywał zkądeś płacz Julii.

Śmiertelna bladość pokryła twarz Tadeusza. Schodził, z zamiarem powrotu jeszcze, ale w drzwiach kamienicy, gdzie Zbąscy mieszkali, szwajcar mu wręczył list od pana Hilarego.

„Wybacz—ty nic nie jesteś winien, ale z czystem nazwiskiem Zbąskich, splamione imię Skulskich połączyć się nie może. Dla Julii może to będzie cios śmiertelny, lecz mam nadzieję w Bogu, że przeboleje, a w fali niepamięci utonie pierwszy ból jej życia. Musimy się rozstać—a dla czego, powie ci Franciszkańska ulica, litera N. domu, Nr. 14-ty mieszkania.

Hilary Zbąski.“

List był straszny. Tadeusz nie był zdolny do żadnych rozmyślań. Skoczył do pierwszej nadjeżdżającej dorożki i kazał się wieść pośpiesznie pod numer wskazany fatalnego domu.

— Tu—stój!—zawołał na woźnicę.

Dom był stary, schody ciemne i skrzypiące. Koło Tadeusza przesunął się w milczeniu wyrobnik jakiś, wynędzniała twarz pracowniczki igły mignęła przy bladem oświetleniu i znikła; jakaś dama z wyrazem zmęczenia na twarzy zakołatała do drzwi tajemniczych. Wszystkie te postaci, jak widma lękające się cienia własnego, szły pod Nr 14.

Z uczuciem niewypowiedzianej trwogi podążył i Tadeusz za niemi.

W przestronnym, lecz brudnym i odrapanym pokoju, znajdowało się osób kilkanaście. Jedni mieli na twarzy wyraz nędzy wyryty, inni, widać ludzie z wyższego świata ukrywali twarz wstydliwie przystępując do tajemniczego okienka, na którym składali pierścienie i brosze, srebrne zastawy do stołów, ślubne obrączki nawet. Lecz byli i tacy, których nie stać było na złoto i klejnoty. Ci do okienka przychodzili z resztkami swych ubrań, z cynowemi łyżkami i sprzętami kuchennemi. W tajemniczem okienku pojawiały się dłonie jakieś suche, kościste, okropne—ważyły złoto, dotykały materyi ubrań i wydzielały grosz, chwytany pożądliwie. Tu i owdzie ktoś płakał lub skarżył się niebu na krzywdę losu.

Tadeusz podbiegł do okna.

— A!!—krzyk straszny wypadł z piersi jego.

Z ciemnego otworu wysunęła się głowa łysa, naga—o nosie suchym i okularach ciemnych.

Tadeusz runął na ziemię.

. . . . . .

Po upływie godzin kilkunastu w mieszkaniu pana Walerego odgrywał się dramat okropny między ojcem a synem.

— Więc te skarby, to złoto, to całe bogactwo dziś moje jest okupione łzami tysiąców? Więc one składały się na te krocie, któremi ty mnie obdarowałeś. Ojcze! ojcze! wolałbym byś mnie zostawił imię czyste i pamięć nieskalaną, szacunek—nie wzgardę ludzką. Jak ty mogłeś dojść do tego, jak ty dojść mogłeś!

Stary przyczołgał się do syna i błagalnie ręce wyciągnął.

— Nie—nie! ja twoich rąk nie dotknę!—zawołał Tadeusz.

— A jednak... one pracowały dla ciebie! — rwącym się głosem jąkał Skulski.—O! ty tego nie pamiętasz—nie wiesz, jakie piekło w życiu miałem. Kopano mnie jak psa, podobny byłem do tych, których doprowadziłem dziś do nędzy. Ty nie mów mi o litości—ja nie zaznałem jej nigdy, o miłości mi nie mów, bom ja jej nie spotkał na świecie. Żona!... ona domyślała się kim byłem—i umarła ze wstydu. Zostałeś mi ty tylko. Kochałem cię miłością zwierzęcą jakąś, szczęśliwy, że kochać coś mogę. Ale ja nie chciałem, byś był nędzarzem do mnie podobnym, by ciebie, jak mnie szarpano. Grzech cały na siebie wziąłem, może piekło całe—jeżeli jest piekło—lecz chciałem byś ty spał na różach.

— Na różach?—krzyknął Tadeusz.—Czyś ty widział, ojcze, róże wyrosłe na krzywdzie ludzkiej... Ja teraz klękam przed tobą i wołam: wróć mi szczęście moje! każ mej pamięci, by nie złorzeczyła tobie!

Ukrył twarz w dłoniach i w wielki nieutulony płacz wybuchnął.

Lecz młodość zwyciężyła szał rozpaczy, starość nie miała sił. Skulski runął na łoże, wezwany doktór, nie znalazł środków ratunku.

Na dzień trzeci pan Walery nie żył...

Przed śmiercią wezwał syna i błagał na pół przytomny o przebaczenie...

— A jednak ty tych pieniędzy nie oddawaj — szepnął.—Źle bez nich!—i poszedł na sąd Boży.

Upłynęło dwa lata.

Na Starem Mieście w jednym małym pokoiku mieszkał Tadeusz. Nie tknął pieniędzy zostawionych przez ojca. Z nędzy ludzkiej powstały, nędzy oddał wszystkie. Wiedzieli o tem ludzie, jedni chwalili, inni śmieli się po cichu, ale on na pochwały i śmiech tłumu nie zważał, miał ręce czyste i czoło dumne—i byłby w biedzie swojej szczęśliwy, gdyby nie wspomnienie o rozwianej miłości pierwszej i ostatniej.

Pewnego dnia ktoś zastukał do drzwi jego mieszkania.

— Nowy biedak—szepnął Tadeusz—a ja już nic nie mam.

Otworzył drzwi—na progu stanęła postać kobieca.

— Julia!—krzyknął nagle.

Pocałunek miłości świętej spoczął na rozpromienionem Tadeusza czole.

— Teraz nie rozłączym się nigdy—zawołała.

— A ojciec, a matka?—pytał Tadeusz.

— Słyszysz kroki—to oni! oni!...

Z WIEDNIA.

D. 21 Września.

Świat wielki, sportowy i inny zjechał już z powrotem na zimowe leże do stolicy, co znać choćby po zwiększonej liczbie kufli pilznera który znów w wielkiej ilości się rozchodzi pomimo, że sławny browar w znacznej części uległ zniszczeniu przez niedawny pożar. Teatra z zapałem rozpoczęły sezon zimowy, a Wenecya w Praterze wciąż wabi tysiące gości.

To prawda, że przynęty nie brakuje; wystawiono tam panoramę Jerozolimy i Betleem, Maryonetki; są wyborne i drogie restauracye gdzie wchodzący musi mieć dobrze wyładowany guldenami pugilares, bo tu za każdą porcyę płaci się co najmniej trzy reńskie; takim jest właśnie pawilon „petit Trianon“ gdzie uprawiają wykwintną francuską kuchnię, ale każą sobie grubo za to płacić. Naturalnie, że są restauracye znacznie tańsze, doskonałe cukiernie, i prześlicznie urządzone włoskie sklepy z wyrobami majolikowemi i kryształami. W zimie ma być w miejsce gondol na lagunach, ślizgawka. Słowem publika się bawi, a przedsiębiorcy robią kolosalne interesa, bo licząc przeciętnie, bywa tam po 30,000 osób dziennie, to też obchodzono z zapałem jubileusz 100 dni otwarcia zakładu.

Teatra ogłosiły już programy nowości. *Teatr w Burgu*, ma wystawić nigdzie jeszcze dotąd niegraną sztukę Sudermanna „Das Glück im Winkel,“ najświeższy utwór Wilbrandta „Die Eidgenossen,“ Copée'go „Pour la Couronne,“ Pinera „Die zweite Frau“ Lothara „Frauenlob, Schnitzlera „Leibelei,“ a oprócz tego dwie sztuki ludowe Anzengrubera, „Der Gewissenswurm“ i Meineidbauer oraz bardzo wiele sztuk wznowionych. *Volkstheater* daje Fuldy i Rühlinga „Der Mann im Schatten,“ Laufsa „Der grosse Komet“ Blumenthala „Graefin Fritzi“ „Ghismondę“ Sardou „Wesele Figara i kilka innych. *W Operze* śpiewają Trubadura, Carmen, Fausta i Hugonotów czekając do Października z prawdziwie sezonowym repertuarem. *Teatr Rajmunda* rozpoczął sezon czarodziejską *féerie* oraz wznowił dawną, wyblakłą krotochwilę, „Schwabenstreich.“

W An der Wien wystawiono żwawy wodewil Teodora Taubego p. t. Ypsyllon-Zet. *Carltheater* otworzy swoje podwoje dopiero 1-go Października z operetką Suppe'go. Teatr *w Josefstadt* zapowiada także szereg nowości, w krotochwilach, operetkach i wodewilach.

Pierwszą najświeższą nowością w sezonie, w dziedzinie sztuk pięknych, jest wspaniale urządzona wystawa w Künstlerhauzie i dzieł dwóch zmarłych artystów, malarza Tomasza Edera i rzeźbiarza Antoniego Wagnera. Drugą, a dobrą także nowością, jest uporządkowanie cesarskiego muzeum sztuk pięknych w ten sposób, że każdy ze zwiedzających może się w nim łatwo oryentować, czego właśnie do tej pory brakowało.

Wyścigi przy ciepłej porze, cieszą się wielkiem powodzeniem, piękne i eleganckie wiedenki wprowadzają tutaj cały arsenał prześlicznych nowości sezonowych sukien i okryć.

Oprócz tego, uprawiają tu jeszcze nowy sport strzelania do gołębi, co spowodowywa ogromne zakłady o najlepsze strzały. Zapewne jednak sport ten nie długo się utrzyma, gdyż towarzystwo opieki nad zwierzętami zaniosło już protest przeciw męczeniu biednych gołębi, bo te najczęściej śmiertelnie ranione w męczarniach konają nim ich uprzątną z pola walki i nareszcie dobiją.

O Wystawie wiedeńskiego kongresu, co raz więcej daje się słyszeć tutaj. Faktem dla niej pomyślnym jest zainteresowanie, jakie powszechnie obudziła, oraz to, że wszyscy posiadacze pamiątek współczesnych, tak właściciele rozmaitych zbiorów, jak i publiczne instytucye okazali gotowość wypożyczenia swoich okazów. Będzie to ciekawy zbiór rozmaitych pamiątek, portretów, autografów, illustracyi, opisów, a nawet będą mody ówczesne (1815 r.). Nasze pamiątki będą tam również licznie reprezentowane.

Bawi tu obecnie pan Galleri, jeneralny przedstawiciel przyszłorocznej wystawy peszteńskiej, urządzonej na pamiątkę tysiącolecia korony węgierskiej w Peszcie. Pan Galleri w imieniu ministra, ułożył się z tutejszemi dziennikarzami i ze związkiem zagranicznej prasy, co do przyszłej informacyjnej wycieczki do Pesztu.

Niespodziewana śmierć młodego arcyksięcia Władysława odbiła się bolesnem echem w sercach wiedeńczyków, szczerze do panującej rodziny przywiązanych. W całem mieście, widać było smutek, jakiego nie zauważono od zgonu arcyksięcia Rudolfa. Zbolała matka zmarłego młodzieńca zamówiła srebrny relikwiarz, dla złożenia w nim ułamków kości wydobytych z rannej nogi arcyksięcia.

Niezwykła jakaś fatalność, od całego szeregu lat, zaczęła ciążyć nad cesarską rodziną Habsburgów, przynosząc co jakiś czas, przypadkową

śmierć dla członków tego domu. Zacząwszy od brata Franciszka Józefa, Maksymiliana cesarza Meksyku, rozstrzelanego w kwiecie wieku, dalej tajemniczej, a tragicznej śmierci arcyksięcia Rudolfa i zniknięcia bez wieści arcyksięcia Jana Salvatora, nie ma prawie takiego roku, aby ktoś z członków rodziny nie umarł w gwałtowny sposób. Jeżeli jeszcze dodamy do tego smutny stan zdrowia domniemanego następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda D'Este, to doprawdy, nie można się dziwić, że sprawy tak boleśnie dotkniętej rodziny w wysokim stopniu zajmują tutaj wszystkich tych, którzy z nią współczują.

Jakiś czas też opinia publiczna tutaj, mocno była zajęta zagadką, dla czego młody arcyksiąże Ferdynand się nie żeni. Najrozmaitsze przypuszczenia krążyły z tego powodu pomiędzy ludnością stolicy, (i kto wie czy jeszcze na ten sam temat nie krążą), aż tu znów jakoby na rozwiązanie tej zagadki, dowiedziano się, że arcyksiąże ciężko zapadł na zdrowiu. W takim razie trudno rzeczywiście myśleć o małżeństwie, a chociaż w ostatnich czasach nastąpiło znaczne polepszenie w zdrowiu arcyksięcia spowodowane zapewne dłuższym pobytem w górach, to jednak jest wszelkie prawdopodobieństwo, że w obec tak wątłego zdrowia arcyksiąże się nie ożeni, a prawo do tronu przejdzie z kolei na jego brata Ottona, ożenionego już z księżniczką saską, a gdyby i ten nie chciał przyjąć korony,—co być może, — na trzeciego brata arcyksięcia Ferdynanda.

Cesarzowa jak zawsze w ciągłych jest podróżach, obecnie wybiera się do swej wspaniałej rezydencyi na Korfu, której już dosyć dawno nie odwiedzała. Cesarz Franciszek Józef zaledwie odpocząwszy trochę z jednej podróży, znów dziś wyjechał na kilka dni na manewry do Węgier.

Zapewne za powrotem cesarza polityczni mężowie na dobre się rozruszają i zajmą uwagę prasy, bo jak dotąd to przez letnie miesiące wiedeńskie dzienniki przedewszystkiem, zajmowały się wszelkiego rodzaju wydarzeniami opartemi na tle moralnej i materyalnej nędzy, których nigdy nie zabraknie na bruku każdego wielkiego miasta; dalej doniesienia i opisy wypadków w górach, w jakie rok ten szczególniej obfitował, dostarczały wzruszającego materyału publiczności.

Oswald.

SZKICE Z PODRÓŻY.

KONSTANTYNOPOL.

(Patrz Nr 35).

W tem rzecz cała! Oto mam jej rzucić jaką srebrną monetę, albo coś z kosztowności dla „Lali,“ — przepowiada: „szczęście dla mnie, dla moich dzieci, i dzieciom tychże dzieci, aż do czwartego pokolenia, dla mojej matki i dla mego ojca, których jestem dumą i radością w starości “

— Ależ oni dawno nie żyją.

— Lecz oni tobie przygotują dobre miejsce tam, gdzie masz nadzieję po śmierci na wieki przebywać! Dajcie jeszcze jeden beszlik (moneta równa 5-ciu piastrom) Madama, i niechaj jeszcze spojrzę w przyszłość, jakie cię szczęście czeka z mężem, którego kochasz!

Poruszyłam głową przecząco i schowałam woreczek.

— Omyliły się twoje grochy, jestem wdową, i to od lat kilku.

Podniosła srebrne ziarnko grochu i śmiała się jak szalona.

— Kłamiesz, jesteś kobietą, tak jak ja! Żyjemy w pośród miłości i umieramy w niej.

Na naszych prochach kwitną kwiaty, osty zemsty, pokrzywy zazdrości. Jedna jak druga, wy zimne białe zamilczacie o tem, my zaś inne, oddajemy się temu otwarcie!

Chiot dotknął mego ramienia, oswobodził fałdy mojej sukni, które owa—Circe prorokująca, trzymała w swej ręce. Za nami posypały się z jej ust wymysły, a gromada małych koboldów ze skradzionem tamburinem i szkaradnemi bębenkami wtórawała tym krzykom. Jedno z tych cyganiąt, gubi swój obrzydły łachman, który i tak na jednem tylko ramieniu trzymał się paroma zbutwiałemi nićmi, porzuca go w kałuży ulicznej, i wyskakuje i kręci się dalej jak go Pan Bóg stworzył, wysławiając „Rom“ w swojej cygańskiej mowie.

Gdyśmy minęli pierwsze domy Fanaru, dochodziły nas jeszcze te wrzaski, i przebrzmiały dopiero za zakrętem ulicy, przed szaremi wrotami ogrodu.

Tu jest mój Chiot u siebie, dzika poezya zmienia się w prawdziwą Idyllę, której spokojny wdzięk jest najwykwintniejszym powabem.

Za szaremi wrotami rozciągał się ogród, pełen owych staromodnych kwiatów, jak laki, astry, lewkonie, lilije i georginie, które tak dobrze pamiętam z czasów mojej młodości.—Między temi wyróżniająco wznosi się—piękna muza—i dalej, grzędy kwitnącej lawendy i srebrzystej lewantyny w pośród innego pachnącego ziela. W tym ogrodzie stoi mały, niski domek, śnieżno biały, jak cukierek, a gdyśmy doń weszli, przyjemne wrażenie wywarły dobrze utrzymane, jasnem pokryciem wybite sofy, poustawiane w około ścian obszernego pokoju.

Ale otóż i ona, do której najwłaściwiej można zastosować wyrażenie: pięknego syna piękniejsza jeszcze matka!

Ta, która wyszła na nasze spotkanie, była to już wiekowa niewiasta, ale co za głowa! jak w najpiękniejszej kamei, klasyczna linia, z niezbyt wysokiego czoła rysowała kształtny, prosty nosek, zdawała się być wzorem antycznego biustu. Massa pysznych, siwiejących włosów, spływała na piękną szyję, z pod czarnej chustki obwiązującej głowę i układała się w wspaniałe pukle aż na plecach. Pięknie wykrojone usta witały mnie czarującym uśmiechem, a głębokie, czarne oczy, z wyrazem dumy i zadowolenia spoczęły na zręcznej postaci syna. Obraz ten pozostanie mi na zawsze w pamięci.

W Konstantynopolu i jego okolicach zdarzyło się mi widzieć najpiękniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam.

Wprowadzono mnie teraz do małego ganeczku zkąd roztaczał się czarowny widok na Złoty Róg. Pojawiła się w tej chwili niedawno zamężna córka mojej przygodnej gospodyni, okrąglutka, miła, ale zaledwie słaba kopia matczynej piękności.

Poczęły mnie ugaszczać, czem tylko mogły najlepszem ze swej podręcznej śpiżarni, a więc mocną kawą, konfiturami, czekoladowemi sorbetami, czarnemi oliwkami i świeżą wodą, w której pływało kilka plasterków cytryny, nakoniec nieodzownym papierosem.—Przytem szeptały wciąż po nowogrecku i zarzucały mnie ze wzruszającą prostotą ducha, pytaniami o „Europie.“

Dzięki swobodzie myśli, czy też powinowactwu mojej muzy z tym światem staro greckim, zdawało mi się, że rozumiem sens tego miękkiego szemrania, z którego zdołałam uchwycić:—„malista,“—„occhi,“ (tak i nie,) albo „efcharisto,“—„sasperikalo,“—(proszę i dziękuję). Jednem słowem, dzięki tym urywanym dźwiękom bardzo przyjemnie ogólną zabawę dzieliłam.

Nadeszła wreszcie chwila powiedzenia sobie: Ade!

Promienie słońca rzucają czerwonawe blaski, smukłe kaiki ze zdwojoną szybkością prują modre fale, które przy tem oświetleniu zapadającego słońca, przybierają przepyszny odblask różowo-fioletowy.

Za godzinkę, z wysokich minaretów zaczną się rozlegać głosy „muezinów“ wzywające wiernych na wieczorną modlitwę.

Opuszczamy więc naszą Idyllę i przebiegamy dziwnie milczące i melancholijne ulice starego Fanaru. Nie spotkaliśmy ani jednej żywej duszy, oprócz oryginalnie umundurowanego greka, stojącego przed jakimś starym pałacem.

Zaszliśmy jeszcze na chwilę do prastarego, w bizantyjskim stylu zbudowanego kościołka, bogato przybranego w kolumny i złocone rzeźby, pełnego obrazów strojnych w złoto i srebro, przedstawiających wizerunki świętych o twarzach z wielkiemi, smętnemi oczami. Trzej kapłani, którym z pod wysokich czap długie sploty na kark spływały, odprawiali modły i miękkim, pełnym skargi głosem czytali śpiewnie brzmiące słowa modlitwy.

Dwie stare kobiety klęczały na boku i w żarliwości religijnej uderzały od czasu do czasu czołem w zimne głazy posadzki.

Z nieco oddalonej i poniżej położonej przystani wzięliśmy ostatni kaik, aby jeszcze przy gasnących promieniach słońca, które cudownie świeciło, dotrzeć do wejścia do Stambułu po drugiej stronie zatoki, u stóp Yeni Djami.

Przed nami leżał, natłoczony ludźmi bardzo ożywiony most—Validy, wiodący do Galaty, owej dzielnicy europejskiego handlu.

Przez ten most, z miejsca nędzy i Idylli przechodzimy w miejsce produkcyjnej kultury.

Most zapchany był wózkami robotników i kobiet z ludu, śpieszących do domu, przed godziną modlitwy tak ściśle u mahometan przestrzeganej. Muezin ukazał się właśnie na galeryi olbrzymiego minaretu Yeni Djami.

Tarcza słoneczna zapadła na zachodzie i zanim dotarliśmy do Galaty, po nad szczytami, okalającemi Bosfor, świeciła pierwsza gwiazda.

Następny dzień przyniósł nam Wielkanoc, podług greckiego kalendarza, święto odznaczające się tutaj głównie tem, że niektóre szczególniej dzielnice przepełnione są ludem, ciągnącym z krainy Trebizondy. Ludzie to, po większej części rośli i nadzwyczajnie mocni, twarze mają poważne, myślące, wzrok przenikliwy, przyzwyczajony do szybkiego oryentowania się w niebezpieczeństwie.

Nie opuściliśmy też obejrzenia tak zwanego „taksimu“ wielkiego zbiornika wody, położonego w pięknym bardzo ogrodzie, poza którym ciągnie się, jakby barwnym kobiercem, kwiatami zasłane wzgórze. Z tego wzgórza widać grecką dzielnicę „Tatawla,“ gdzie ruch i życie wrzało jak to zwykle bywa na jarmarku.

Miałam wielką ochotę zejść tam.

— Dobrze, — odpowiedział mój przewodnik. — Ale musi pani watą nos i uszy zatkać, jedną rękę trzymać w kieszeni, drugą zaś mieć gotową do odpędzania natrętnych—i ciągle przytem powtarzać: „haide!“ albo „yok!“ co znaczy: wynoś się i nie.

Z powietrza, tchnącego zapachem kwiatów i oświeżanego powiewem, dochodzącym tu od morza, dostaliśmy się w atmosferę duszną, przesyconą przykrą wonią zgnilizny, w zakątek brudny i niesłychanie nędzny.

Wszystko tu było pomieszane, natłoczone, tak, że trudno było stąpać pomiędzy przeróżnym śmieciem.

Obok rozbitego szałasu cyganów rozlewała się głęboka, cuchnąca kałuża, w której walały się podarte szmaty, potłuczone naczynia, odpadki jadła i kości, a nad tem wszystkiem unosiły się brzęczące roje much. Przed domami, które zaledwie na miano lepianek zasługiwały, siedziały wszędzie obdarte rozczochrane dzieci; nie było ani jednego kącika, w którym nie byłoby pełno błota, gliny, skorup i wstrętnych łachmanów.

Ludzi było mrowie, a wszystko to kręciło się jak w ulu, szwargotało i potrącało wzajemnie. Jak zwykle podczas jarmarku nie brakło i tutaj bud z rozmaitemi osobliwościami, zacząwszy od cielęcia o dwu głowach, skończywszy na siłaczce, dźwigającej ciężary na małym palcu, kabalarce świetnie przepowiadającej przyszłość i teatrze maryonetek. Po za obrębem domostw, w zagrodzie stały wychudzone osły, którym prócz much dokuczały nagie, niesforne dzieciaki

Niedaleko od zagrody osłów poustawiano karuzele z dziwacznemi gryfami i różnemi nieprawdopodobnemi straszydłami, w miejsce używanych zwykle koni lub ławek. Dalej huśtawki, młyny i stragany ze słodyczami.

Tutaj też, pod gołem niebem zobaczyłam po raz pierwszy taniec wschodniego ludu. Dziwny to i trudny do opisania taniec. Właściwie jest to tylko powolne, miarowe stąpanie, któremu towarzyszy pewne drżenie nóg i monotonne poruszanie głową i przeginanie postaci. Na pozór poruszają się ci ludzie ospale, ciężko bez żadnego porywu lub podniecenia, muzyka, złożona z bębna zwanego „tamtam,“ z piskliwego fletu i nieznośnie brzęczącej kobzy, wtóruje z nużącą jednostajnością.

Ani jeden dźwięk nie wydobywa się z zaciśniętych ust tancerzów, na żadnej twarzy nie doczytasz się ani cienia namiętności, a jeśli wre ona w głębi tych serc, okrytych ciemną powłoką, to ją przy-

mknięte na pół oczy gęstą zakrywają zasłoną. Jakże różne mamy wyobrażenie o tańcu, który jest przecież wyrazem uciechy i wesela.

Publika, przyglądająca się z zajęciem temu widowisku składała się z żebraków rozmaitego pochodzenia, starych kobiet i dzieci. Gdym przechodziła, jako do cudzoziemki, wyciągnęły się do mnie wszystkie ręce i na różne tony odezwało się: „Aman, Madama!“ Doprawdy, serce zastyga w Konstantynopolu na widok tak rozwielmożnionego żebractwa.

Z jarmarku podążyliśmy jeszcze na wielki armeński cmentarz, opodal „taksimu.“ Jestto olbrzymie pole, zasłane odurzająco pachnącemi fijołkami. Gdzie niegdzie wyrosła grupa drzewek lichych, zresztą, prócz płaskich szarawych kamieni, głęboko wciśniętych w ziemię, pusto i smutno, że aż boleśnie obejrzeć się do około. Widok ztąd na Skutari jest nieporównanej, niebiańskiej piękności. Całą brzydotę nędzy i brudu, łachmany wstrętne i żebractwo, wynagradza jedno spojrzenie na wiecznie szafirowe, przeczyste morze, tem więcej, gdy ponad niem unosi się się pełna kwiecia i woni wiosna.

Z bieżącej chwili.

— Petersburskie banki prywatne, pozwoliły przekazywać bezpłatnie pieniądze na miasta, gdzie banki te mają filie swoje. Cena rubia srebrnego przy opłacaniu cła została ustanowiona na przeciąg czasu od października do stycznia na 65 kopiejek w złocie, podobnie jak i rubla kredytowego. Opracowywa się też projekt zorganizowania taniego kredytu, jednym ze środków ma tu być obowiązkowe zakładanie lombardów po wielkich miastach.

— Ministeryum rolnictwa ustanowi wkrótce gubernialne komitety rolnicze z udziałem czterech gospodarzy miejscowych i specyalnego inspektora gospodarstwa wiejskiego. W miejscowościach, gdzie nie ma gubernialnych instytucyi ziemskich, ustanowieni będą inspektorowie powiatowi.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż w dniu 21 września urządzona została uroczysta iluminacya portowych budowli w Teodozyi, ogłoszonem też zostało obok tego prawo w przedmiocie zamknięcia dla handlu portu sewastopolskiego.

— Warszawskie Towarzystwo dobroczynności przyznało na ostatniem posiedzeniu wydziału wsparć około rs., 800 na wpisy dla niezamożnych uczniów i uczennic miejscowych zakładów naukowych.

— Firma przemysłowo-fabryczna Warszawskiego towarzystwa akcyjnego Lilpop, Rau et Comp, przeznaczyła 5,000 rs., na zapoczątkowanie funduszu stypendyalnego dla niezamożnych uczniów otwierającej się w mieście naszem pierwszej szkoły mechaniczno-technicznej.

— Członek komitetu przyszłej wystawy hygienicznej, D-r Krzeczkowski rozesłał cyrkularz do wielu osób zajmujących się hygieną, gimnastyką i tym podobnemi ćwiczeniami, prosząc o dostarczanie spostrzeżeń i prac z dziedzicy wymienionej w ścisłem zastosowaniu do rozwoju zdrowia publicznego. Spostrzeżenia te mają być przed końcem roku nadesłane D-r Garlickiemu, który je wraz z gronem specyalistów oceni i odda do druku; z rozpraw tych wytworzy się dzieło, które będzie rozpowszechnione na wystawie.

— Na wystawie obrazów War. Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przybyły świeżo: Adama Karniowskiego „Portret,“ Michała Wywiórskiego „Krajobraz,“ Arkadyusza Rosińskiego „Krajobraz,“ B. Tomaszewicza „Głowa włościanki,“ „Studyum,“ „Wnętrze lasu jesienią,“ Wincentego Ditrycha „Portret mężczyzny,“ „Portret damy,“ Jana Studzińskiego „Krajobraz,“ Stanisława Heymanna „Portret damy,“ Mieczysława Reyznera „Na schyłku życia,“ „W ciemnym kącie kościoła,“ „Jezioro Jon“ (w górach Jura) „Ulica Charnex (koło Montreux) „W L'Abbaye“ (w Szwajcaryi), Aleksandra Swieszewskiego „Widok leśny,“ „Staw,“ „Dzień pochmurny.“

— Biblioteka publiczna, otwarta przed kilku dniami w nowem swem pomieszczeniu, posiada udogodnienia, jakich nie było dotąd w Warszawie. Czytelnia jest wspaniałą salą na piętrze po nad głównym przedsionkiem, mieści się w niej pięć wielkich stołów, koło których może zasiąść i czytać, notatki czynić, po dwanaście osób, bynajmniej sobie nie przeszkadzając. W starym gmachu bibliotecznym, nie można było podczas miesięcy zimowych mieścić się więcej niż dwudziestu osobom, z których zaledwie połowa mogła czynić notatki przy stole. W nowej sali czytelni mieści się też daleko więcej szaf z książkami, stanowiącemi koniecznie tu potrzebne podręczniki, bo czytelnik ma przed sobą parę tysięcy tomów; książki mogą być brane wprost z szaf, a wielce wygodną rzeczą dla czytelników jest to, że mogą sobie chwilowo odpocząć w pięknej sali z galeryą dwupiętrowej wysokości, gdzie znajdą zawsze towarzystwo. W sali tej mieści się piękny, alegoryczny obraz Siemiradzkiego, znajduje się też obok czytelni głównej i sala mniejsza, czytelnia dla studentów, właściwe zaś księgozbiory zajmują zupełnie oddzielną część gmachu, niedostępną dla publiczności.

— Przybył do miasta naszego Alfred Jensen, studyujący języki słowiańskie. Jest on stypendystą akademii szwedkiej, a język nasz zna tak dobrze, że zamierza przekładać poezye Mickiewicza, zabawi on między nami parę miesięcy.

— Mieszkańcy Radomia, pp.: Silnicki, Domański, Sławiński, Szenszyński, Szumański, zwiedzili w towarzystwie ks. rektora Naulewicza kościoły Warszawy i wielu miast naszych w celu postanowienia, w jakim stylu ma być zbudowany kościół, mający się wznieść w Radomiu. Ostatecznie uradzono, aby wzorem dla nowej świątyni stał się nieskończony jeszcze kościół S-go Floriana na Pradze.

— Międzynarodowy kongres bibliograficzny, obradujący w Brukseli, postanowił założyć międzynarodowy instytut, w którym rozbierano by różne kwestye, łączące się z bibliografią; zamierzonem jest również opracowanie ogólnej klasyfikacyi bibliograficznej.

— Na Szlązku austryackim, w Cieszynie otwartem zostało gimnazyum z wykładem w języku naszym; zapisało się doń zaraz 86 uczniów, w skutek czego otwartym zostanie oddział równoległy. Że gimnazyum to jest potrzebnem w tej miejscowości, wykazuje już to, że tak znaczna liczba uczniów weszła zaraz. Przypozwano też jednego jeszcze nauczyciela, czwartego.

— Pogrzeb ś.p. parcybiskupa Felińskiego odbył się w Krakowie d. 19 września; eksportacya zwłok z pałacu arcybiskupiego do katedry na Wawelu była bardzo uroczysta. Mowę wygłosił kanonik Pelczar.

— Dzienniki tak krakowskie, jak i lwowskie podniosły głos, iż zniszczonemi zostały przez pożar zabytki starożytnej sztuki naszej, mieszczące się w zbiorze ewangelickim w Nowym Sączu, który był dawniej kościołem franciszkańskim. Chodziło tu szczegółowo o zachowanie kamiennej ornamentacyi gotyckiej okien i niszy celebransa, oraz kilku nagrobków z marmuru czerwonego. W skutek tego gmina ewangelicka zajęła się naprawieniem choć częściowem skutków tego zaniedbania. Zebrano i poskładano starannie szczątki marmurowych nagrobków, wmurowując je w arkadzie umyślnie na ten cel wzniesionej, gdzie ich nie dosięgnie deszcz lub śnieg, nie dotknie zniszczenie żadne, utworzyło się też z tego jakoby muzeum starych pamiątek. Mieści się tu między innemi leżąca postać rycerza wielkości naturalnej, Jana Dobka Łowczewskiego, podstolego krakowskiego, zmarłego w 1628 r., oraz tablica z długim napisem odnoszącym się i do jego żony, znajduje się tu i ozdobna tablica pamiątkowa fundacyi pierwotnego kościoła, umieszczona w 1646 r. Wiele pamiątek cennych przepadło przecież, a między niemi artystycznie rzeźbiona tarcza marmurowa z herbem Sieniawa i bogate szczegóły architektoniczne.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Za późno**, przez autorkę powieści „Silny duch.“ Przekład z niemieckiego, ark. 3.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Jan Kleczyński, przez M. I. (z portretem). — Wrzesień, przez Jadwigę z Ż. S. — Pogawędka, przez ?? — Dla dziecka. Nowella (dokończenie).—Z Wiednia, przez Oswalda.—Szkice z podróży (dokończenie).—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Za późno, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“ przekład z niemieckiego ark. 3-ci. — Przegląd mód. 33 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 13 Сентября 1895 г.